

Edward Mogilski

CHŁODNY
WIATR

Prequel *Martwej Laleczki*

koobe

Edward Mogilski

Chłodny wiatr

Mieszkanie mieściło się na siódmym piętrze w dziesięciopiętrowym bloku przy ulicy Armii Krajowej. Zadzwoiłem. Cisza. Zadzwoiłem kolejny raz. Cisza. Zadzwoiłem jeszcze kilka razy, aż w końcu otworzyły się drzwi.

Moim oczom ukazał się przeraźliwie chudy mężczyzna. Był starszym człowiekiem, a jego chudość dodawała mu prawdopodobnie lat.

– Dzień dobry. Nazywam się Adam Zalewski. Umówiliśmy się telefonicznie na spotkanie.

– Tak, tak. Nie spodziewałem się, że jest pan tak młody. Telefony zniekształcają głos.

– Na pewno – przyznałem mu rację i wszedłem do środka.

Staruszek zamknął za mną drzwi.

– Proszę w prawo – poinstruował.

W pokoju panował bałagan. Na stole leżało mnóstwo papierów i zdjęć. Na brązowym komplecie mebli warstwa kurzu osiągała grubość pięciu centymetrów. No, może czterech. Ściany, kiedyś zapewne białe, teraz były szarobrude.

Mężczyzna wskazał mi krzesło, a sam usiadł na kanapie. Wyłączył telewizor z ekranem LCD, który był jedyną nową rzeczą w pokoju i w ogóle do niego nie pasował.

– W jakiej sprawie mogę panu pomóc? – grzecznie zapytałem.

– Chodzi o moją córkę... chciałbym ją zobaczyć przed śmiercią.

Popatrzyłem na niego badawczo i skinąłem głową, żeby mówił dalej.

– Wie pan, mam raka jelita grubego. Lekarze mówią, że nie zostało mi wiele czasu. Sam to czuję. Może pożyję jeszcze z miesiąc albo dwa. Nie wiadomo. Nie mam czasu. Chcę przed śmiercią zobaczyć się z córką i wyjaśnić jej pewne sprawy. Poza tym mam sporo oszczędności, które chciałbym jej przekazać.

Machinalnie rozejrzałem się po pokoju, zastanawiając się, ile można mieć na koncie i mieszkać w tak zapuszczonym mieszkaniu. Zauważył to i uśmiechnął się.

– Wiem, co ma pan na myśli. – Poprawił rękaw od piżamy, który osunął mu się za łokieć.

– Czy facet, który mieszka w czymś takim, może mieć jakiegokolwiek oszczędności? Pewnie się pan dziwi: jak tu można żyć? Powiem panu, że można. Nie chcę żadnej sprzątaczkę, która by grzebała w moich rzeczach osobistych. Nie chcę naruszania mojej prywatnej własności. Leczę się w prywatnej klinice we Wrocławiu. Jeżdżę tam raz w tygodniu. Zawozi mnie mój znajomy. On też robi mi zakupy. Przynosi obiady. Oczywiście nie za darmo. – Na jego wychudzonej twarzy znów pojawił się uśmiech. – Było mnie stać na wybudowanie domu, ale tego nie zrobiłem. Powie pan, że ze skąpstwa. Otóż nie, wolę żyć jak zwykły człowiek. Tak też umrę, ale wprawdzie chcę zobaczyć swoją córkę. I to jest zadanie dla pana.

– Wie pan... – zawahałem się, bo chciałem dobrze dobrać słowa. – Zajmuję się głównie

rozwodami, przynoszeniem dowodów małżonkom. To robię i w tym się dobrze czuję. Nigdy nie zajmowałem się zaginięciami. Mogę wiedzieć, skąd ma pan moje namiary?

– Mój znajomy, o którym panu mówiłem, zasięgnął języka w różnych kręgach i polecano pana.

– Miło mi – powiedziałem lekko zażenowany. Nienawidziłem pochwał. Od zawsze. Doprowadzały mnie do szału. – Częstochowa nie jest dużym miastem, prywatnych detektywów nie ma zbyt wielu, ale sam znam kilku, którzy chętnie zajęliby się pańską sprawą.

– Polecono mi pana – powiedział z naciskiem. I wołałbym, żeby to pan się zajął tą sprawą.

– Dobrze. W takim razie proszę mi więcej powiedzieć o córce i okolicznościach jej zaginięcia, a ja się zobaczę, czy ta sprawa leży w zasięgu moich możliwości.

Skinął głową.

– Córka jest jedyną bliższą mi rodziną. Żona i druga córka zginęły w pożarze kamienicy, której byłem właścicielem. To było jedenaście lat temu w Katowicach. Tam wtedy mieszkaliśmy. Później córka poszła na studia i od tej pory straciłem z nią kontakt. Wtedy przeprowadziłem się tutaj.

– Dokąd córka poszła na studia?

– Do Gdańska, na jakiś kierunek związany z morzem. Nie pamiętam. Jest bardzo zdolna.

– Czemu zerwała z panem kontakt?

– Bo ja wiem... Mogę się tylko domyślać. Chyba obwinia mnie o śmierć matki i siostry.

– Czemu?

– Bo to ja byłem właścicielem kamienicy i ja zaniedbałem instalację elektryczną.

– Został pan postawiony w stan oskarżenia? – To pytanie wydało mi się sztampowe, jakby zadał je jakiś niezbyt bystry policjant.

– Nie. Sprawę umorzono. Nie było dowodów świadczących na moją niekorzyść. Ktoś dokonał podpalenia, ale kto? Do tej pory nie wiadomo. Córka, gdy skończyła osiemnaście lat, wiedziała jednak swoje. Ciężko tak młodemu i zbuntowanemu człowiekowi coś wytłumaczyć.

– Ile lat ma córka teraz?

– W grudniu skończy dwadzieścia cztery. To jej zdjęcia. – Podał mi plik fotografii.

Większość zdjęć pochodziła z okresu dzieciństwa. Ujrzałem na nich rezolutną dziewczynkę ze smutnym spojrzeniem. Tylko dwie fotografie przedstawiały ją w starszym wieku. Jedna z balu maturalnego, gdzie ubrana była w czarną, skromną sukienkę. Długie włosy miała ufarbowane na czarno. Na zdjęciach z lat wcześniejszych patrzyła na mnie blondynka. Na drugim zdjęciu stała sama. Miała na nim duże niebieskie oczy, które ze strachem patrzyły gdzieś ponad obiektyw. Zdjęcie było zrobione od piersi w górę. Włosy miała związane w staromodnego koka.

– Próbował ją pan odnaleźć?

– Tak. Trzy lata temu. Zjawił się u mnie jej mąż i powiedział, żebym dał jej spokój.

– A pan?

– Co miałem zrobić? Opuściłem. Zdziwiłem się, że tak szybko wyszła za mąż. Od

tamtego czasu nie podejmowałem żadnych prób.

– Jak się nazywa córka? Nazwisko pewnie przejęła od męża? – zapytałem.

– Tak. Ma pan rację. Nazywa się Anna Szewczyk. Trzy lata temu mieszkała w Słupsku. Tu ma pan adres. Czy jest wciąż aktualny, nie wiem. Chcę, żeby pan to sprawdził.

– Tylko tyle? – zdziwiłem się.

– Ależ oczywiście, że nie. – Znowu się uśmiechnął. – Chcę, żeby pan pojechał do niej, porozmawiał z nią i przywiózł ją tutaj.

Skrzywiłem się.

– Nie mogę jej zmusić do przyjazdu tutaj.

– Niech pan coś wymyśli.

Wstałem z krzesła. Ujrzałem drobinki kurzu wirujące w powietrzu. Okno w pokoju nie było otwierane chyba od czasów transformacji ustrojowej.

– Niestety, nie mogę się podjąć tego zadania. Nie jestem psychologiem i nie będę nikogo nakłaniał do spotkania z ojcem.

– Niech pan poczeka. Mam tu coś dla pana. – Sięgnął do kieszonki w piżamie i wyciągnął czek.

– To chyba pomyłka – powiedziałem, patrząc na wypisaną sumę.

– To i jeszcze raz tyle po sprawie. Jeśli się nie uda, zachowuje pan tę część, która od teraz należy do pana.

Stałem z czekiem w dłoni i nie wiedziałem, co zrobić. Od miesiąca nie miałem zlecenia. Nie wiadomo, kiedy będzie następne. Suma, którą miałem na koncie, topniała w zastraszającym tempie. Po chwili namysłu odpowiedziałem: – Dobrze, zajmę się tym. Poproszę o zdjęcie córki i jej adres sprzed trzech lat.

Podał mi fotografię i komputerowy wydruk z miejscem zamieszkania.

– Będę pana informował o przebiegu sprawy. – Odprowadził mnie w milczeniu do drzwi. – Do widzenia panu.

– Do widzenia.

Zjechałem windą na dół. Otuliłem się szczelnie sztruksową kurtką. Jak na połowę września było zimno i mokro. Wyszedłem z budynku. Silny wiatr dawał znać o sobie. Niebo było zachmurzone i nabrzmiałe, jakby zaraz miało się zawalić. Ucieszyłem się, że przynajmniej przestało padać. Tylko ten wiatr. Przeszywał człowieka na wylot.

Skierowałem się w stronę parkingu. Mój wysłużony Opel czekał na mnie jak wierny pies. Wsiadłem do samochodu. Sięgnąłem po komórkę. Czekałem dwa sygnały, aż w słuchawce usłyszałem głos, od którego zawsze miałem ciarki na plecach: – Cześć, Adaś. O co chodzi?

– Cześć. Mam do ciebie wielką prośbę.

– Znowu chcesz, żebym grzebała po jakiś aktach. – Jej głos stracił wesołą barwę.

– No właśnie tak. To dla mnie bardzo ważne. Będę ci zobowiązany na całe życie.

– Zawsze tak mówisz – zauważyła. – Przyjedź teraz. Marek jest na siłowni. Pogadamy.

– Ok. Będę za dziesięć, góra piętnaście minut.

Odłożyła słuchawkę. Zapaliłem silnik. Martyna była moją podporą w parszywym zawodzie, którym się trudniłem. Pracowała w policji, zajmowała się przestępstwami w sieci. Już nieraz mi pomogła i pewnie jeszcze nieraz pomoże. Poznałem ją na studiach – ona studiowała informatykę, ja – historię. Ją przyjęli do policji. Mnie nie. Jej mąż domyślał się, że kiedyś coś między nami było, a może sama mu powiedziała. Nieważne. Gdy mnie widział, miał minę jak grabarz, któremu skradziono łopatę. Cieszyłem się, że go nie będzie i będę mógł spokojnie wypić u niej kawę.

Zatrzymałem się przed okazałym domem jednorodzinny w willowej dzielnicy. Czerwony dach, wypielegnowany ogród. Miała rację, że za niego wyszła. Przynajmniej zyskała duży metraż, jedyne, co ten kretyn mógł jej dać.

Nacisnąłem na dzwonek przy bramie.

– To ja – powiedziałem do domofonu.

– Widzę – odpowiedziała, śmiejąc się.

Usłyszałem ciche pyknięcie. Otworzyłem furkę i dostałem się do ogrodu. Szedłem po wąskiej dróżce, wijącej się między dokładnie przystrzyżoną trawą.

– Cześć – przywitała mnie w drzwiach.

Wszedłem do środka i powiesiłem kurtkę na wieszaku.

– Strasznie zimno – powiedziałem.

– W końcu idzie jesień – skwitowała.

Usiedliśmy w salonie, który zajmował prawie cały parter.

– Czego się napijesz?

– Kawy.

Siedziałem na wygodnej sofie i patrzyłem, jak krząta się w eleganckiej otwartej kuchni. Obok mnie stał sprzęt hi – fi najwyższej klasy. Jej mążus kiedyś chwalił się, że za same kable do kolumn zapłacił ponad pięć tysięcy. Dał mi do zrozumienia, że to więcej niż cena mojego samochodu. Cóż, nie każdy jest biznesmenem i nie każdy ma własny domek. Nie zazdrościłem mu tego. Zazdrościłem mu kobiety, która właśnie przygotowywała mi kawę.

Jej długie kasztanowe włosy, nienaganna sylwetka i okulary, w których wyglądała jak wymagająca nauczycielka, zniewalały mnie za każdym razem. Wprawdzie byłem samotny od dłuższego czasu i spragniony kobiecego ciała, ale tylko ona robiła na mnie tak piorunujące wrażenie. Inne kobiety wydawały się przy niej nic nie warte. Była zmysłowa i jednocześnie inteligentna. Mogłem się na nią gapić godzinami i przypominałem sobie jak to było, gdy przez kilka miesięcy dzieliliśmy razem łóżko.

– Chcesz ze śmietaną? – zapytała.

– Nie, wystarczy z cukrem.

Wreszcie usiadła naprzeciwko mnie.

– Ślicznie wyglądasz, jak zawsze zresztą – powiedziałem na głos to, co myślałem.

– Dzięki. Ty trochę gorzej. Znając ciebie, pewnie dalej jesz to parszywe żarcie z Biedronki.

– Nie, tylko zupki chińskie – uśmiechnąłem się. – To fajnie, że tak dobrze trafiłaś –

dodałem, obrzucając wewnątrz wymownym spojrzeniem.

– Czy ja wiem – westchnęła. – Dom to nie wszystko.

– W takim domu można myśleć o potomku. Jednym, drugim...

Roześmiała się.

– Nie chcę mieć na razie dziecka.

– Bo wiesz, jeśli Marek ma z tym problemy, to ja zawsze mogę go zastąpić...

– Adam, daj spokój – spoważniała. – Po co przyszedłeś?

Pokazałem zdjęcie Anny Szewczyk i jej adres zamieszkania.

– Sprawdź, co się z nią dzieje, gdzie przebywa obecnie i tyle. Z jej powodu czeka mnie chyba wycieczka nad morze.

– Dobra, załatwię to jutro.

– I jeszcze jej starego – podałem drugą kartkę z nazwiskiem klienta.

– Waldemar Piątek – przeczytała na głos.

Upiłem łyk kawy. Posiedzieliśmy chwilę w milczeniu. Gdy cisza zaczęła się robić nieznośna, wstałem i powiedziałem: – To ja będę się już zbierał. Mam nadzieję, że jakoś ci to kiedyś wszystko odrobie.

– Jasne – uśmiechnęła się. – Kiedyś.

* * *

Wszedłem do swojego mieszkania. 28 metrów kwadratowych. Kawalerka, ale własna. Było tak zimno, że chciałem wskoczyć od razu pod pierzynę i jakoś przetrwać do następnego dnia. Zawsze to samo na jesień: spółdzielnia mieszkaniowa zwlekała z włączaniem ogrzewania tak długo, jak mogła.

Na obiad zjadłem pierogi ruskie z torebki. Następnie wziąłem prysznic i wskoczyłem do łóżka. Wziąłem ze sobą zdjęcie Ani Szewczyk. Patrzyłem na nie jednym okiem, drugim zerkąłem na jakiś film w telewizji. W końcu poczułem zmęczenie i zasnąłem.

* * *

Od samego rana oczekiwałem na telefon od Marty. Na próżno. Cisza. Podłączyłem telefon do ładowarki i czekałem dalej. Było cholernie zimno. Miałem na sobie dwie bluzy i spodnie dresowe, mimo to czułem grobowy chłód w mieszkaniu. Spakowałem najpotrzebniejsze rzeczy do małej walizki i poszukałem atlasu, żeby prześledzić najdogodniejszą trasę do Słupska.

To była moja pierwsza sprawa poza Częstochową. Wcale mi się to nie uśmiechało, ale myśl o tym, że za kilka godzin zrealizuję czek na sumę, której nigdy nie widziałem na oczy, rekompensowała mi długą podróż i prowadzenie sprawy, która mi się nie podobała. Taki zawód, nie ma co narzekać ani użalać się nad sobą.

W końcu zadzwonił tak bardzo oczekiwany przeze mnie telefon.

– Cześć, Adaś. Mam coś dla ciebie. Spotkajmy się w centrum za pół godziny, ok. ?

– Jasne, dzięki.

Spotkaliśmy się na przystanku tramwajowym w samym centrum. Podała mi zwiniętą w

kostkę kartkę.

– Nie ma tego wiele – powiedziała na przywitanie.

– Dzięki za to, co jest – odpowiedziałem dyplomatycznie.

– Nie ma sprawy. Dziewczyna wyprowadziła się ze Słupska do pobliskiej Ustki. Tam mieszka z mężem. Tego Piątka nie znalazłam w naszej bazie danych. Muszę jeszcze poszukać, nie wiem, czemu go tam nie było.

– Dzięki za informacje. Jesteś genialna.

– Nie przesadzaj. Adam, mam prośbę.

– Jaką?

– Znajdź sobie inną pracę. To nie robota dla ciebie. Jesteś zbyt...

– Wrażliwy – przerwałem jej.

– No właśnie. Pomyśl nad tym.

– Dzięki za troskę. Na razie nie skorzystam.

Skrzywiła się na moje słowa. Nic nie powiedziała i rozpląnęła się w kolorowym tłumie przechodniów, który zalewał chodnik na całej jego szerokości. Większość z nich miała potwierzane parasole nad głowami. Dopiero teraz dotarło do mnie, że pada. Stałem na przystanku i mokłem. Wrześniowa aura była naprawdę do dupy.

* * *

Wróciłem do mieszkania. Zaraz po przekroczeniu progu rzuciłem się do komputera szukać noclegu w Ustce. Przejrzałem kilkanaście ofert. Wybrałem dwie – położone bliżej centrum niż plaży i z bezprzewodowym Internetem.

Zadzwoiłem pod pierwsze. Odebrała kobieta o miłym głosie. Powiedziałem, że interesują mnie dwa noclegi, a może więcej. Zanotowała moje nazwisko, a na koniec rozmowy ostrzegła, że mają kiepską pogodę.

Wyjazd zaplanowałem na jutro rano. Dziś jest wtorek. Będę na środę wieczór. Czwartek przeznaczyłem na spotkanie z Anną Szewczyk pod jej nowym adresem. Właściwie to nie takim nowym, bo Martyna napisała, że przeprowadziła się tam wraz z mężem trzy lata temu. To mi wystarczyło. Piątek przeznaczyłem na dodatkowe sprawy w razie jakichkolwiek trudności. Dawno nie byłem nad morzem. Przyda mi się trochę odmiany.

* * *

Na miejscu byłem kilkanaście minut po siedemnastej. Po drodze miałem kilka postojów, ale dojechałem bez problemów. W rzeczywistości obawiałem się tylko, że mój nie pierwszej młodości wóz odmówi mi posłuszeństwa. Na szczęście nic takiego się nie stało. Zaparkowałem przed dwupiętrowym prostokątnym domem na ulicy Sportowej 9. Było to osiedle domków jednorodzinnych, z których duża większość wynajmowała pokoje dla przyjezdnych. Po drugiej stronie ulicy stał okazały stadion. Dalej las. Miało być centrum, a jednak lekkie peryferia. Byłem zbyt zmęczony, żeby to teraz analizować. Wyciągnąłem walizkę z bagażnika i podszedłem do furki. Jeszcze raz zerknąłem na biały budynek. Popatrzyłem na dwa szerokie balkony obwieszane na całej szerokości doniczkami z czerwonymi kwiatami. Lekka przesada, pomyślałem.

Pchnąłem lekko furtkę i wszedłem do ogródka. Nie zdążyłem dojść do budynku, gdy w jego drzwiach ukazała się kobieta.

– Dzień dobry! – krzyknęła na powitanie.

– Dzień dobry – odpowiedziałem i wszedłem po schodkach do drzwi.

Podąłem jej rękę.

– Pan Zaleski? – upewniła się.

– Zalewski – podkreśliłem z naciskiem na spółgłoskę “w”.

– Rusinowska – przedstawiła się. – Proszę do środka. Jak podróż?

– Na szczęście już minęła – uśmiechnąłem się i zamknąłem za sobą drzwi.

Była niska i puszysta. Na oko dałem jej trzydzieści pięć - trzydzieści siedem lat. Może się myliłem, ale to nie było istotne ani w tej chwili, ani w żadnej innej. Pachniała drogimi perfumami. Ubrana była w obcisłe jeansy i czarny tshirt Versace. Sympatyczna twarz i ciemna opalenizna, wynikająca prawdopodobnie z częstych wizyt na solarium, dopełniały reszty.

– Będzie miał pan pokój na pierwszym piętrze. Proszę tędy – wskazała na schody.

– Dziękuję. Jestem jedynym klientem? – zapytałem, wspinając się do góry.

Szła przodem. Odpowiedziała, nie odwracając się: – Nie. Jest jeszcze starsze małżeństwo w pokoju naprzeciwko pana. A tak, to nie ma już nikogo. Mamy koniec września, proszę się nie dziwić, ale w wakacje mieliśmy komplet. Dobrze, że pogoda dopisała, to był dobry sezon. – Potok słów z jej ust płynął nieprzerwanie. – No, jesteście. – Otworzyła drzwi od pokoju.

Wszedłem do środka, walizkę położyłem na łóżku.

– Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, jestem na dole.

Wyszła z pokoju i zamknęła drzwi. Słyszałem jej kroki na schodach.

Pierwsze, co mnie uderzyło po wejściu do pokoju, a wcześniej do mieszkania, to ogrzewanie. Było ciepło. Tego tak bardzo mi brakowało przez ostatnie dwa tygodnie.

Pokoik był niewielki i schludny. Dwa pojedyncze łóżka wskazywały, że w sezonie przeznaczony był dla dwójki turystów. Mały telewizor stał na komodzie, obok której stała zgrabna szafa na ubrania. Do tego mały stolik między łóżkami, na którym spoczywała nocna lampka. Brązowe zasłony i ciemnobrązowe panele podłogowe dobrze komponowały się z żółtymi ścianami. W małej wnęce stała chłodziarka, a na półce nad nią znajdowały się talerze, sztucce i czajnik elektryczny.

Przeszedłem przez całą szerokość pokoju i otworzyłem białe drzwi do łazienki. Kabina prysznicowa, umywalka, beżowe płytki – wszystko to robiło dobre wrażenie. Przejrzałem się w lustrze nad umywalką. Odkręciłem kurek z zimną wodą i przemyłem twarz. Czuję lekkie zmęczenie. Wiedziałem już, że dzisiaj nie odwiedzę Anny Szewczyk. Nie miałem na to ochoty. Byłem zmęczony. Po prostu. Nie miałem dla siebie żadnego usprawiedliwienia.

Za oknem wiał wiatr i padał deszcz. Wróciłem po laptopa do samochodu. Rusinowska gotowała obiad. Przy stole w kuchni siedziała mała dziewczynka i odrabiała lekcje.

– Na pewno jest pan głodny. Może zje pan z nami? – zaproponowała.

– Cóż, miałem zamiar zjeść coś na mieście...

– Teraz pan nic nie znajdzie. W sezonie nie ma problemu; wszędzie są pootwierane knajpy, pizzerie i budki z hotdogami. Jesienią miasto zamiera. Dobre obiady są na stołówce szkolnej, ale ona jest otwarta do szesnastej.

– W takim razie zjem z chęcią, jeśli to nie jest problem.

Usiadłem po drugiej stronie ławy. Zapach gorącego lecza wypełnił elegancką kuchnię. Z rozmowy przy obiedzie dowiedziałem się, że mąż właścicielki jest inżynierem i pracuje na największych budowach po drugiej stronie Bałtyku. Ona z córką siedziała w domu, a na czas sezonu wynajmowała pokoje. Twierdziła, że z tego też mają niezły grosz. Mówiła przez cały czas, ja jedynie potakiwałem. Nie zainteresowała się, kim jestem, po co przyjechałem. Nic. Mówiła o sobie, jakby chciała się wygadać. Dobrze trafiła, bo jestem świetnym słuchaczem.

Podziękowałem za obiad i wróciłem do pokoju.

* * *

Obudził mnie szum wiatru. Źle spałem. Śniła mi się otchłań, w którą spadam i spadam, aż budziłem się spocony i sprawdzałem, czy jeszcze leżę na łóżku, czy już może na podłodze. Zasypiałem na nowo i znowu to samo. W końcu obudziłem się o szóstej trzydzieści. Za oknem było ciemno. Wiatr. W pokoju zalegała martwa cisza. Tylko ten wiatr hulał w najlepsze. Ogarnął mnie niepokój. Nie miałem żadnego powodu, ale i tak odczuwałem klucie w żołądku. To uczucie towarzyszyło mi od dziecka. Wracało co jakiś czas, na przykład gdy wprowadzałem się do akademika na pierwszy rok studiów, albo gdy Martyna oświadczyła, że musimy się rozstać. Teraz znowu to samo. Ona też mi się śniła. Miała rację, jestem za miękki do tej roboty. Pamiętałem wszystkie sprawy, twarze moich klientów i klientek. Ich problemy stawały się częścią mnie. Z miesiąca na miesiąc zmieniałem się w chodzącą bombę, naładowaną cierpieniem. Na dodatek pustka. Brak kobiety. Brak kontaktu cielesnego, brak rozmowy, brak motywacji.

Wstałem z łóżka. Włączyłem komputer. Przejrzałem poranny serwis informacyjny. Potem zacząłem grać w pasjansa. Chciałem pozbyć się lęku, który pojawiał się w najmniej oczekiwanych chwilach. Godzinna gra w wirtualne karty nie poprawiła mi nastroju. Zaparzyłem sobie kawę i przejrzałem plan miasta.

* * *

O w pół do dziesiątej stałem pod kamienicą, w której mieszkał mój cel. Budynek z zewnątrz nie robił dobrego wrażenia. Elewacja pamiętała chyba jeszcze czasy zaboru pruskiego. Kamienica sąsiadowała z Biedronką, której agresywne żółtoczerwone barwy ostro kontrastowały z zapuszczonym budynkiem w kolorze, najdelikatniej mówiąc, niewyraźnym.

Wszedłem do środka. Po drewnianych, skrzypiących schodach wdrapałem się na piętro. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny. Nie było dzwonka, zapukałem więc pod numer, który Martyna napisała mi na kartce, czyli pod numer czwarty.

Po chwili usłyszałem za drzwiami głos, należący prawdopodobnie do kobiety: – Jaka cholera tam kogo niesie...

Drzwi otworzyły się. Moim oczom ukazała się chuda postać ze zniszczoną cerą. Jej twarz była twarzą pijaczki. Poczulem od niej woń alkoholu. Włosy miała ufarbowane na bordowo. Miała na sobie niebieską bluzkę nie pierwszej świeżości i dresowe spodnie, podobne do moich, których używałem do chodzenia po domu. Nawiasem mówiąc, były na nią za duże chyba o

dwa numery. Wbiła we mnie swoje mętne spojrzenie.

– Dzień dobry. Czy mieszka tu pani Anna Szewczyk? – zapytałem grzecznie.

– Nie – odpowiedziała ochryłym głosem. – Mieszka obok, tu pod piątką.

– A to przepraszam w takim razie... – Cofnąłem się krok w tył.

– Ale jej tera nie ma. Jest w pracy. Mąż też. Nie ma ich. A pan to co za jeden?

– A ja z urzędu. No nic, dziękuję. Może później ich zastanę.

– Nie wyglądasz pan na urzędnika – zainteresowała się.

– No bo nie jestem – ściszyłem głos. – Jestem kuzynem Anki, chcę zrobić jej niespodziankę – powiedziałem konspiracyjnym tonem.

– Że co? – Chyba nie zrozumiała.

Rozpiąłem kurtkę i pokazałem jej czerwonego Vermoutha, którego trzymałem w wewnętrznej kieszeni. Zakupiłem go kilkanaście minut wcześniej dla siebie w Biedronce, ale nadarzyła się okazja i postanowiłem ją wykorzystać.

– Zimno jest. Może porozmawiamy w środku? – zaproponowałem.

Kobieta wlepiała wzrok w butelkę. Odezwała się po chwili: – Rzeczywiście zimno. Wejdz pan do środka. Halina. – Podała mi rękę.

– Adam. – Odwzajemniłem uścisk jej suchej dłoni.

Mieszkała w kawalerce. Zaprowadziła mnie do pokoju i pokazała krzesło. Sama poleciała do kuchni. Pokój był duży i strasznie zaniedbany. Na rozłożonym łóżku w chyba nigdy nie pranej pościeli leżał mężczyzna. Leżał na wznak i głośno chrapał. Miał rozpięte spodnie i pobrudzony podkoszulek. W pokoju było otwarte okno, przez które wlatywało rześkie morskie powietrze. Starzło się zabić woń alkoholu oraz dymu papierosowego. Bezskutecznie. Nie było telewizora. Pewnie go sprzedali za dwie flaszki, przeszło mi przez myśl. Jednym słowem, melina. Nic dodać, nic ująć.

Gospodyni wróciła ze szkłem. Siedzieliśmy przy stole. Nie było obrusa, a blat lepił się nie miłosiernie. Otworzyłem butelkę i napełniłem szklanki.

– Jesteś jej bratem?

– Nie. Kuzynem. Właśnie wróciłem z Londynu. Wie pani, emigracja i te sprawy. Jak mówiłem, chciałem jej sprawić niespodziankę. Dawno się nie widzieliśmy. Nawet nie wiem, gdzie teraz pracuje.

– W ośrodku – odpowiedziała szybko i pociągnęła łyka.

– W ośrodku? – zdziwiłem się. – A to nic nie wiem, studiowała oceanografię w Gdańsku...

– Nie wiem, co robiła w Gdańsku – przerwała mi. – Pracuje w takim ośrodku dla czubków. Opiekuje się nimi. Wiesz, same świry.

Skinąłem głową. Mężczyzna zachrapał tak głośno, że aż się wzdrygnąłem. Wypiła całą zawartość szklanki. Moja stała nie ruszona. Dolałem jej i sam zrobiłem małego łyka. Wzdrygnąłem się. Nie z powodu tych szesnastu procent zawartych w trunku, lecz zastanawiałem się, czy pani domu dba tak samo o naczynia jak o porządek w pokoju, w którym siedzieliśmy. Postawiłem szklankę z powrotem na stole. Poczulem, jak się do niego przykleja.

– Jej mąż to rybak. Znasz go?

Znów odpowiedziałem skinieniem głowy.

– Podobno mają się niedługo przeprowadzić – ciągnęła. – Tu do tych pobliskich bloków. Rzadko kiedy rozmawiamy. Jak ona przychodzi z pracy, to mnie nie ma...

Albo leżysz nawalona, dokończyłem w myślach.

– A o której mogę ją zastać?

– To zależy. Dziś chyba będzie po czwartej. Ten ośrodek jest na plaży wschodniej. – Zamyśliła się głęboko, a następnie czknęła. – Mewa. Mewa się chyba nazywa. Pracuje też na nocne zmiany. Tyle wiem. Przyjdź dzisiaj po czwartej, to pewnie ją zastaniesz. Jak usłyszę, że wraca, a będę w domu, to jej przekażę.

Wiedziałem, że o szesnastej Halina będzie już na innej orbicie i na pewno się nie zwlecze z wyra (oczywiście jeśli uda się jej w nim wylądować), żeby poinformować Szewczykową o mojej wizycie. O to mogłem być spokojny.

– To dziękuję bardzo za pomoc. Idę przejść się na plażę.

– Łeb ci tam urwie, synu. Wieje i jest zimno jak skurwysyn.

– Mimo to spróbuję – uśmiechnąłem się i wstałem od stołu.

– A to? – Wskazała na butelkę.

– Na zdrowie. – Skierowałem się w stronę drzwi.

– Na pewno jej przekażę – krzyknęła za mną.

O, tak, stara wiedźmo. Na pewno przekażesz. Z uczuciem ulgi opuściłem melinę. Przynajmniej czegoś się dowiedziałem. Wychodząc z klatki schodowej, popatrzyłem na skrzynkę na listy. Z przegródki o numerze pięć wystawała do połowy biała koperta. Była zaadresowana na Annę Szewczyk. W prawym górnym rogu widniało zielone logo ubezpieczalni AMG. Wyszedłem. Stałem przed budynkiem. Zdziwiłem się, że Anna pracuje w zakładzie dla czubków, ale z drugiej strony czy był to powód do dziwienia się. Jakby się zastanowić, to nie. Wyciągnąłem telefon i wybrałem numer Piątka. Odebrał po trzech sygnałach.

– Mam pewien trop, proszę pana. Wyprowadziła się ze Słupska. To wiem na pewno. Dokąd, to właśnie sprawdzam. Będę informował o dalszym przebiegu śledztwa. Życzę miłego dnia. – Nie dałem mu dojść do słowa, ale poinformowałem go, że jestem w trakcie pracy. Nie powiedziałem, że jestem w Ustce, bo wiele by to nie zmieniło, a staruszek mógłby się niepotrzebnie ekscytować.

Tak jak powiedziałem pijaczce, postanowiłem przejść się na molo. Rano wyczytałem w Internecie, że jest tu takie. Chciałem je zobaczyć na własne oczy i przy okazji zabić czas, którym dysponowałem do czwartej po południu. W mojej profesji ważna była cierpliwość. Ciągle się jej uczyłem.

* * *

Dwadzieścia po piątej znów znalazłem się przed zaniedbaną kamienicą. Na ulicy było cicho i pusto. Jesienna szaruga zalała całe miasto. Najpierw poszedłem na tył domu zobaczyć, czy w mieszkaniu pod numerem piątym świeci się światło. Świeciło się, o ile nie pomyliłem

okien. W oknie, które według moich obliczeń powinno należeć do starej pijaczki, panowała ciemność.

Wróciłem na przód budynku i wszedłem do środka. Głośno zapukałem do drzwi. Poczulem mrowienie w rękach. Niepokój, który dręczył mnie całą noc i cały ranek, znów powrócił.

Skrzypnęła zasuwka. W drzwiach ujrzałem atrakcyjną blondynkę. Od razu wiedziałem, że to była ona. Młoda dziewczyna z fotografii była tą samą osobą, która stała naprzeciwko mnie. Wysoki wzrost i niezła figura wywarły na mnie duże wrażenie.

– Dzień dobry. Nazywam się Adam Zalewski. Pani Anna Szewczyk?

– Tak – odpowiedziała po chwili wahania. Kim pan jest?

Patrzyła na mnie z ciekawością, w której musiał kryć się strach. Była spięta. Odgarnęła pasemka włosów, które zachodziły jej na twarz. Postanowiłem zagrać w otwarte karty.

– Jestem prawnikiem. Reprezentuję interesy pana Waldemara Piątka. Z jego polecenia przyjeżdżam do pani.

Zamarła. Jej jasna twarz pobieliała jeszcze bardziej.

– Jak... jak mnie pan tu znalazł? – Była wyraźnie w szoku.

– Mamy swoje sposoby. Pani ojcu zostało nie wiele dni życia. Chce się z panią zobaczyć.

– Nie chcę nic od niego – powiedziała cicho, po czym trzasnęła drzwiami.

Złapałem za klamkę i otworzyłem je z powrotem. Tylko zamiast niej ujrzałem przed sobą barczystego mężczyznę. Ciemne włosy, mocny zarost na kwadratowej szczęce i ogromne łapy, w których zasięgu nie chciałyby się znaleźć. Facet potrafił skrzywdzić, a przynajmniej na takiego wyglądał.

– Zostaw moją żonę. Jej staremu powiedz, żeby się od nas odpiardolił. Rozumiesz?

Widziałem coś na podobieństwo wściekłości w jego oczach. Zaraz wybuchnie, pomyślałem.

– Chcę tylko porozmawiać z pańską żoną. Nic więcej. To jest moja praca. Przecież może pan być obecny przy naszej rozmowie – powiedziałem najspokojniej jak umiałem.

– Wypierdalaj! – warknął i wypchnął mnie na środek klatki schodowej.

Upewnił się, czy schodzę na dół. Potem zamknął drzwi. Odruchowo spojrzałem na skrzynkę listową. Koperty z ubezpieczalni nie było już w przegródce.

* * *

Wróciłem do swojej kwatery. W domu było cicho i pusto. Zajrzałem do chłodziarki. Wszystko, co było mi potrzebne do jedzenia, kupiłem rano w żółtoczerwonym markecie położonym w sąsiedztwie kamienicy Anny Szewczyk. Będę musiał jutro z nią pogadać, ale bez mężusia, który jest gotów wybić mi wszystkie zęby. Muszę ją dopaść w pracy albo po pracy. Albo przed pracą. Nie ma innego wyjścia.

Popatrzyłem na telefon. Zero połączeń przychodzących. Liczyłem na wiadomość od Martyny, że znajdzie coś o starym Piątku i może wreszcie dowiem się, czemu córunia jest tak uczulona na tatusia, że nie chce z nikim od niego rozmawiać. Czemu zmieniła miejsce zamieszkania trzy lata temu? To musiało być wtedy, gdy stary próbował ją złapać. Czemu

mążgoryl reaguje wściekłością, gdy słyszy o swoim teściu? I czemu staremu tak zależy na spotkaniu z córką, która nie chce go widzieć? Na ostatnie pytanie wytłumaczeniem mogło być to, że Piątek rzeczywiście stał już jedną nogą w grobie i chciał się dogadać z córką przed śmiercią. Dogadać, ale w jakiej sprawie? Pogodzić? Może coś wyjaśnić, naprawić?

Godzinę później jeszcze raz zająłem do chłodziarki. Czegoś mi w niej brakowało. No jasne! Butelki czerwonego Vermoutha, którą zostawiłem u sąsiadki Szewczyków dziś rano.

Ubrałem się z powrotem i zszedłem na dół. Spotkałem tam Rusinowską.

– Jadł pan dziś obiad?

– Tak. Byłem na stołówce. – Zdziwiła mnie swoją troską.

– Niepotrzebnie. Mógł pan zjeść z nami. Jutro będzie ryba. Zapraszam.

– Nie chcę pani robić kłopotu.

– Nie robisz. Małgorzata jestem. Mów do mnie Gosia.

Mimo że była starsza ode mnie o kilka lat, nie dawała tego poznać po sobie.

– Idę do sklepu? Potrzebujesz czegoś? – zapytałem.

– Nie. Jak wrócisz to pogadamy, jeśli nie będziesz zmęczony od tego całodniowego chodzenia po mieście.

– W porządku. Jakie wino lubisz?

– Czerwone, półwytrawne. – Uśmiech nie schodził z jej twarzy.

– Wrócę za dwadzieścia minut.

Wyszedłem z domu. Morskie powietrze było naprawdę przyjemne. Deszcz lekko siąpił. Tylko ten wiatr.

* * *

Wyszedłem z osiedlowego sklepu spożywczego, który dysponował małą ilością artykułów, a na te, które posiadał, właściciel nakładał ogromną marżę. Był umiejscowiony pomiędzy blokami niedaleko ulicy, na której stał dom Rusinowskiej. Zaciągnąłem się rześkim powietrzem i zszedłem po schodkach na dół. Chłodny wiatr ciągle się nasilał, mimo to wieczór był naprawdę przyjemny. Schowałem butelkę wina pod kurtkę i skierowałem się w stronę chodnika.

Pod sklepem stało czerwone Audi. Kierowca opierał się o maskę i palił papierosa. Drugi siedział w środku na tylnym siedzeniu.

– Która godzina, szefie? – zagadnął mnie ten z papierosem.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo otworzyły się tylne drzwi samochodu i zobaczyłem pistolet wycelowany prosto w mój brzuch.

– Do środka – rozkazał ten z pistoletem.

Posłuchałem pokornie i usadowiłem się obok niego za przednim fotelem pasażera. Mężczyzna oparł rękę z bronią o udo i siedział zwrócony w moją stronę. Na głowie miał czapkę z daszkiem, który rzucał cień na jego oczy. Ubrany był w szarej tonacji. Drugi był już za kierownicą i włączał silnik. Spod wypływały włosy świecił łysiną w ciemnym wnętrzu pojazdu pachnącego nową tapicerką i nowością w ogóle.

– Nasi znajomi nie życzą sobie twoich wizyt, kolego – przemówił kierowca. – Wracaj do Częstochowy i tam zajmuj się cudzymi brudami. U nas na to nie ma miejsca.

Żeby podkreślić słowa kolegi, ten obok mnie wcisnął mi łufę między zębra. Zaboląło.

– Zrozumiałem – powiedziałem.

Wjeżdżaliśmy w ulicę Marynarki Wojska Polskiego. Było to połączenie deptaka i ulicy. Prowadziła do portu i na plażę. Spacerowałem nią rano po wizycie u starej pijaczki. Ulicę zdobiły odnowione kamieniczki i domki o hanzeatyckim charakterze. Zwiedzającym mogło się to podobać. W tej chwili byłem nieczuły na uroki malowniczej zabudowy. Minęliśmy stare kino po lewej stronie, a następnie kościół po prawej.

– Dokąd jedziemy?

Odpowiedziała mi cisza.

– Postawicie mi drinka, a potem odwieziecie do domu? – Nie dawałem za wygraną.

– Jedziemy popływać – odpowiedział ten obok mnie.

Nawet się uśmiechnął, to znaczy wyszczerzył zniszczone zęby. To był jego uśmiech.

– Dasz mi adres swojego dentysty? – zażartowałem, choć wcale nie było mi do śmiechu. Na pływanie też nie miałem ochoty.

Znów odpowiedzią była cisza.

W wieczornej ciemności zauważyłem biały maszt okazałego statku w towarzystwie innych mniejszych należących do łajb zacumowanych w przystani. Port dokładnie oświetlony był całkowicie pusty, co miało dla mnie największe znaczenie. Pojechaliśmy dalej i zatrzymaliśmy się pod budynkiem kapitanatu i wieży ciśnień. Wszystko to widziałem na porannym spacerze. Powtórka z rozrywki, tyle że w niezbyt sprzyjających okolicznościach.

Wysiedliśmy z samochodu. Kierowca szedł przodem, ja byłem trochę w tyle, a mój strażnik tuż przy mnie z pistoletem wycelowanym w moje plecy.

Weszliśmy na molo. Facet z łysiną nie zatrzymywał się i szedł dalej. My za nim. Z niepokojem obserwowałem morskie fale, które zawzięcie atakowały betonową konstrukcję molo.

– Dobra, panowie. Wystraszyliście mnie nie na żarty – mówiłem głośno, żeby przekrzyczeć szum fal. – Skończmy tę zabawę. Zrozumiałem, że mam się odpiardolić i wyjechać. Nie musicie mnie bardziej przekonywać.

Łysawy przystanął. Zatrzymaliśmy się w połowie długości pomost.

– Tu będzie dobrze – powiedział. – Ściągaj kurtkę.

Ściągnąłem. Przestałem do nich gadać. Nie było sensu. To jakbym próbował odwieść głuchoniemego od skoku z dziesiątego piętra, mając do dyspozycji tylko język.

– I buty – dodał ten ze spluwą i z brakami w uzębieniu, które tak chętnie eksponował za pomocą szerokiego uśmiechu.

Zdjąłem. Kurtkę zwinąłem w kostkę i położyłem na butach. Czułem jak chłód przenika moje ciało.

Obaj zbliżyli się do mnie na odległość może sześciu centymetrów. Musiałem cofnąć się o dwa kroki. Stałem na krawędzi. Za mną było wejście do portu dla statków wracających z

otwartego morza. Woda bulgotała w nim jak we wściekłym szale. Tak mi się wydawało, nie chciałem się odwracać i sprawdzać czy rzeczywiście tak było.

– Nie wracaj tu – powiedział łysawy. – Odwróć się.

Posłusznie wykonałem polecenie. Zobaczyłem, jak moje buty wpadają do wody. Za nimi poleciała kurtka.

– Masz. – Włożyli mi portfel do ręki. – Nie nosisz broni. To błąd. Nie odwracaj się.

Poczekąłem chwilę, po czym lekko odwróciłem głowę w lewo. Właśnie opuszczali molo. Byłem szczęśliwy, że nie wylądowałem w lodowatej wodzie.

Poczekąłem aż odjechali, a następnie biegiem udałem się w stronę miasta. Biegłem przez puste ulice. Nie zatrzymywałem się, choć zimne powietrze zatykało mi płuca. Biegłem do samego domu na ulicy Sportowej 9.

Z hukiem otworzyłem drzwi i wparowałem do przedpokoju.

– Co się stało? – zapytała przerażona gospodyni. – Gdzie masz kurtkę?

Popatrzyła na mnie i na moje niebieskie skarpetki.

– Matko! – krzyknęła. – A buty?

Usiadłem na podłodze. Brakowało mi tchu. Nie miałem kondycji. Pot zalał mi plecy i jednocześnie trząsałem się z zimna.

– Nie było półwytrawnego – wychrypiałem.

* * *

Zaparkowałem Opla na parkingu przed ośrodkiem Mewa. Było pięć po dziesiątej rano. Miałem stan podgorączkowy i całkowicie zapchany nos. Wszedłem z samochodu i sięgnąłem do kieszeni niebieskiej kurtki przeciwdeszczowej po paczkę chusteczek. Kurtka była za duża o dwa rozmiary, ale zawsze coś. Gosia powiedziała, że nie muszę jej oddawać. Uściskała mnie na pożegnanie i umówiłem się, że kiedyś do niej wpadnę na parę dni. Oczywiście pod nieobecność męża.

Miałem nadzieję, że Szewczyk jest w pracy. Wszedłem do białego czteropiętrowego budynku położonego nad samym morzem. Budynek był dość szeroki i wyglądał jak dom wczasowy.

– Pan do kogo? – zagadał do mnie portier.

– Do Anny Szewczyk – odpowiedziałem. Pracuje tutaj.

Mężczyzna przyglądał mi się uważnie. Był tłusty i siedział nieruchomo na małym fotelu. Czarna broda zdobiła jego nalaną twarz. Dałem mu czterdzieści parę lat.

– Mamy zakaz wpuszczania ludzi z zewnątrz. To jest ośrodek zamknięty.

– Mógłby ją pan tutaj zawołać? – zapytałem z nadzieją w głosie.

Znowu sięgnąłem po chusteczkę. Wyczyściłem nos i popatrzyłem na faceta. Siedział tak, jak siedział. Podejrzywałem, że pół godziny wcześniej też bym go zastał w takiej samej pozycji. I jutro też. Byłem pewny, że każdy ruch to dla niego nie lada wysiłek.

– Nie mogę jej zawołać, bo musiałbym opuścić miejsce pracy. – Skrzywił się na samą myśl. – A ja tego zrobić nie mogę – dodał z satysfakcją w głosie.

Czułem, że krew mnie zalewa.

– A nie można po nią zadzwonić?

– A co, pali się?

– Nie, ale zaraz zacznie. Jestem z ubezpieczalni, potrzebuję jej podpisu. Wsunąłem mu sfalszowaną wizytówkę do okienka. Nawet na nią nie popatrzył.

– Nie mogę nic dla ciebie zrobić, kolego – powiedział przymykając powieki. – To nie urząd pracy ani tym bardziej supermarket. Mamy tu regulamin. Przyjdź, jak skończy pracę.

Wyciągnąłem portfel. Zauważyłem, że grubas obserwuje mnie jednym okiem. Zwinąłem banknot w rulonik i wsunąłem do okienka. Złapał go chciwie. Podał mi plakietkę z napisem: “Gość”.

– Pięć minut. Jest na tarasie z pacjentem.

Pokazał palcem na dwuskrzydłowe drzwi. Wszedłem po schodkach na korytarz i nacisnąłem klamkę.

Znajoma blondynka stała na tarasie. Miała na sobie coś na kształt zielonkawego uniformu. Tuż obok ciemnowłosa kobieta w białej piżamie siedziała na wózku inwalidzkim. Szewczyk odwróciła się na mój widok.

– To znowu pan? Nie dość panu?

– Pani znajomi chcieli wczoraj wykąpać mnie w Bałtyku. Na pani szczęście tego nie zrobili. Wyglądali na gliniarzy, ale nieważne. Chcę szczerze z panią porozmawiać, a potem odjadę...

– Powiedział pan ojcu, gdzie mieszkam? – zapytała.

– Nie, jeszcze nie.

Popatrzyłem na nią. Zastanawiała się nad czymś.

– I nie wiem, czy to zrobię. Pani koledzy napędzili mi trochę stracha, a ja nie robię nic za wszelką cenę. Wiem, kiedy trzeba się wycofać i dlatego teraz rozmawiam z panią.

– To byli koledzy męża. Opowiem panu o ojcu i o mnie, a pan nie powie mu gdzie jestem. Zgoda?

– Niech pani zaryzykuje.

Popatrzyła na zegarek.

– Proszę tu poczekać. Muszę iść po zastrzyk.

Opuściła taras i zamknęła za sobą drzwi.

W końcu jestem na dobrej drodze. Wydmuchałem nos. Słońce przebijało się zza chmur. Jakaś para z psem spacerowała po plaży.

– Przyjemnie tu – zwróciłem się do kobiety na wózku.

Siedziała z przechyloną głową. Była przykryta brązowym kocem. Twarz miała poprzecinaną zmarszczkami, włosy tłuste i pozlepiane. Oczy patrzyły gdzieś w nieokreśloną dal. Z lewego kącika ust ciągnęła się ślina.

Patrząc na nią poczułem niepokój. Nie taki, jak wczoraj na molo, ale inny. Pomachałem jej ręką przed oczami – nie reagowała. Kobieta budziła we mnie litość i jednocześnie przerażenie.

Wyjąłem chusteczkę, żeby wytrzeć jej usta.

Pochyliłem się nad wózkiem i delikatnie przyłożyłem ją do lewego kącika. Nie reagowała.

Nagle prawą ręką chwyciła mnie za kurtkę. Jej wyraz twarzy się nie zmienił. Nie chciała mnie puścić. Wpadłem w panikę. Próbowałem uwolnić się z uścisku. Na próżno. Dłoń zacisnęła się jak imadło.

Na tarasie pojawiła się Szewczyk ze strzykawką. Po zaaplikowaniu lekarstwa kobieta zwolniła uścisk. Byłem w szoku.

– Nigdy z takim czymś się nie spotkałem – powiedziałem do niej.

Zawołała sanitariusza, który wywiózł kobietę do środka. Zostaliśmy sami.

– Za późno dostała zastrzyk – powiedziała obojętnie.

– Ciężka praca. Podziwiam za odwagę.

– Kwestia przyzwyczajenia. Pan też nie ma łatwej pracy.

– Czasem można dostać po zębach – przyznałem.

– Nie mam czasu, panie detektywie. – Ostatnie słowo w jej ustach zabrzmiało jak ironia.

– Zamieniam się w słuch.

Oparła się na balustradzie. Wyjęła papierosa z kieszeni służbowego stroju. I zapaliła. Nie poczęstowała mnie. I tak bym nie skorzystał.

– Mój ojciec to potwór. Jebany zboczeniec.

Zacząła ostro, domyślałem się, co zaraz usłyszę.

– Jest pan za kastracją pedofilów? – zapytała i zaciągnęła się papierosem.

Twarz miała smutną. W oczach ból. I tak była piękna.

– Oczywiście – odpowiedziałem.

– To niech pan wykastruje mojego ojca. Zapłacę.

Nic nie powiedziałem. Czekałem na jej słowa.

– Stary zboczeniec molestował mnie od najmłodszych lat. Moją siostrę też. Matka siedziała cicho. Wie pan, jak to jest – wstyd, upokorzenie.

Na szczęście nie wiedziałem.

– To trwało latami. W końcu mama i siostra zdecydowały się iść z tym na policję. Złożyły zeznania i wróciły do domu. Ojciec, gdy się o tym dowiedział, wściekł się. Dwa dni później obie spłonęły w pożarze. Ja byłem wtedy w szkole muzycznej. Od tamtej chwili chciałem uciec.

– I gdy nadarzyła się okazja... – wtrąciłem.

– Uciekłam. Chciałam być jak najdalej od ojca, dlatego wybrałam studia w Gdańsku.

Zamilkła. Coś zawzięcie analizowała.

– To on je zabił. Rozumiesz, człowieku?

– Niech mi pani powie o pracy ojca i o jego zarobkach. Skąd ma pieniądze?

– Nie wiem. Podejrzewam, że pochodzą z nielegalnych źródeł. Uświadomiłam sobie to dopiero niedawno. Gdy przeprowadziliśmy się do Częstochowy, zmieniliśmy nazwisko na

Piątek. Podejrzewam, że był ku temu jakiś powód – mówiąc to uśmiechnęła się sztucznie.

Wszystko robiło się jasne. Wydmuchałem nos któryś raz z kolei. Brudne chusteczki wypełniały już całą kieszeń pożyczonej kurtki.

– Ojciec nie dawał mi spokoju, aż w końcu wyjechałam na studia. Zrobiłam to w tajemnicy przed nim. Studia rzuciłam po pierwszym roku. Oceanografia to nie zajęcie dla mnie. Wyszłam za mąż i tyle. Myślałam, że już po wszystkim, a ten skurwiel trzy lata temu wysłał człowieka, żeby mnie znalazł. Postanowiliśmy się wyprowadzić ze Słupska. Wprawdzie niedaleko, ale zawsze coś.

– Bardzo blisko – dodałem. – Następnie mąż spotkał się z pani ojcem i powiedział, żeby dał wam spokój...

– Nie! – przerwała. – Jarek ma starszego brata w policji. Nastraszył faceta i ten zrezygnował ze sprawy.

Okazało się, że przyjemniaczek z popsutym uzębieniem był bratem męża. Martyna dała mi za mało informacji. Byłem zły na nią. Mogła sprawdzić jej męża i brata. Odwaliła robotę, żeby mnie spławić. Trudno.

Pożegnałem Annę Szewczyk. Było mi jej żal. Trochę. Czułem się źle, ale mnie nikt nie żałował.

Komórka zadzwoniła, gdy wyjeżdżałem z parkingu. Wyświetlił się nieznany numer. W słuchawce usłyszałem głos Martyny. Pewnie dzwoniła z budki albo specjalnie kupiła kartę sim na jeden telefon do mnie. Bała się, żeby nie przyłapali jej na wynoszeniu informacji z pracy. Miała na tym punkcie obsesję.

– Cześć, Adam, jak sprawa?

– Cześć, prawie zakończona. Za osiem godzin powinienem być w domu. Nie czekaj z obiadem.

Kiepski żart nie rozbawił jej. Swoim zwyczajem pominęła go i przeszła do rzeczy: – Ten twój Piątek to prawdziwa rewelacja. Nazwisko ma przybrane, naprawdę nazywa się Waldemar Żaroń.

To by się zgadzało z wersją Szewczyk, pomyślałem.

– Pracował jako księgowy dla śląskiej mafii. Gdy pojawiły się zarzuty o molestowanie córek, zgodził się zeznawać przeciw swojemu szefowi. Wsypał trzy grube ryby, nawet jednego posła. Został świadkiem koronnym i tak dalej.

– Dzięki, Martyna. Jesteś niezawodna – powiedziałem jej, chociaż w tej chwili tak nie myślałem.

– Ale to nie wszystko – mówiła rozentuzjasmowana. – W zarzutach o molestowanie pojawiła się wzmianka, o tym że matką tej twojej Anny Szewczyk jest jej siostra Agata Żaroń. Miały to wskazać badania DNA, do których nie doszło w wyniku śmierci siostry i matki.

– Wiem, zginęły w pożarze.

– No właśnie. Puścili mu to wszystko płazem, jak tylko zgodził się sypać swoich zwierzchników. Dzięki niemu przyskrzynili...

– Kilku mafiosów i posła – dokończyłem za nią. – Wiem, już to mówiłaś. To nie jest dla

mnie ważne. Nie mówiła mi nic, że ten skurwysyn zrobił ją z jej siostrą.

– Może sama nie wie albo się wstydzi.

– Masz rację. Wstyd potrafi wiele ukryć. Dzięki za pomoc, muszę kończyć, bo zaraz skończę na jakimś drzewie.

Z ulgą odłożyłem telefon i skupiłem się na drodze.

* * *

Jechałem windą na siódme piętro do mieszkania dewianta, dzięki któremu zarobiłem trochę grosza. Powinienem wziąć nóż i odciąć mu jaja, ale to od niego wziąłem czek. Trzeba mieć jakieś zasady. Wyjąłem chusteczkę, katar nie ustępował.

Po dwóch minutach czekania pod drzwiami ujrzałem stęsknionego tatusia. Wyglądało na to, że w ogóle nikt go nie pilnował. Żadnych tajniaków. Świadek zrobił swoje, niech się martwi o siebie. Wydał mi się jakiś chudszy niż na początku tygodnia. I tak niedługo umrze.

– Znalazł ją pan? – zapytał na progu.

– I tak, i nie – odpowiedziałem dyplomatycznie.

– Co to znaczy?

Wszedłem do środka.

– Byłem w Słupsku. Rozmawiałem z jej sąsiadami. Nie wiedzieli, dokąd się wyprowadziła. Pojechałem do Gdańska. Tam szukałem jej znajomych z okresu studiów.

Mężczyzna skrzywił się niemiłosiernie, ale ręką pokazał, żebym mówił dalej.

– Od jej znajomych dowiedziałem się, że wraz z mężem planowali na stałe osiedzić w Szwecji. Skoro nie są zameldowani w Polsce, muszą być tam. Koleżanka, która mi o tym mówiła, nie widziała pańskiej córki od dwóch lat. Całkowicie straciła z nią kontakt. Tu się kończy moje zadanie.

Facet był zawiedziony. Nałgałem jak cholera, ale kupił moją wersję.

– Gdzie w Szwecji? – zapytał cicho.

– Nie mam pojęcia – przyznałem. – Wyjąłem kopertę z kieszeni. – Tu jest reszta pańskich pieniędzy. Odliczyłem sobie koszty i standardowe honorarium. Tam ma pan cały kosztorys.

– To pana pieniądze! – warknął.

Schowałem kopertę z powrotem do kieszeni.

– Przykro mi – znowu skłamałem.

– Idź pan w cholerę!

Wycofałem się do korytarza. Z pokoju dobiegało coś na podobieństwo łkania. Cicho wyszedłem z mieszkania.